

## **Gnieźnieńskie Forum Ekspertów Turystyki Kulturowej**

### *Pytanie 62*

Jak z punktu widzenia turystyki kulturowej ocenić fenomen multikulturowości i jego przesłanki w świetle bieżącej "wędrowki ludów" do Europy

**Dr hab. prof. UAM Michał Jarnecki**

*“Jak z punktu widzenia turystyki kulturowej ocenić fenomen multikulturowości i jego przesłanki w świetle bieżącej "wędrowki ludów" do Europy, nie będącej przecież ani pierwszą, ani zapewne ostatnią w dziejach? Czy jest to tylko zagrożenie, czy może raczej nieco egzotyczna atrakcja w niekoniecznie egzotycznym (a więc dalekim fizycznie i treściowo) otoczeniu, a może jeszcze coś jeszcze więcej?”*

### **Odpowiedzi:**

**Dr hab. Michał Jarnecki, prof. PA UAM Kalisz**

Myślę, że tym razem zadającemu pytanie wypadaloby odpowiedzieć jako pierwszemu, zwłaszcza teraz, w tym specyficznym, społecznym kontekście, kiedy część zagadnienia stała się swoistym “hot potato”, na którym ostrzą sobie języki ludzie przesadnie przerażeni albo nieuki czy wreszcie cyniczni polityczni harcownicy.

Po pierwsze, wydaje mi się, że my – którzy nie tylko z teorii świat poznajemy i jesteśmy w trakcie tego procesu, nie powinniśmy milczeć i ustępować osobom o wiele mniej w tych kwestiach kompetentnym, jak pojawiający się na ekranach politycy, reprezentanci subkultury typu skinheadów czy innej maści “eksperci”, żerujący na emocjach.

Z punktu widzenia naszej dziedziny odpowiedź nie wydaje się specjalnie trudna, o ile wyjmiemy jej polityczny czy emocjonalny kontekst. Różnorodność wzbogaca obraz i przekaz kulturowy, a to - jak w przypadku kuchni - zazwyczaj zwiększa atrakcyjność miejsca i przekazu o nim. Nie da się jednak uciec od pytań związanych z genezą multikulturowości czy multietniczności. Zazwyczaj jej początki nie są ani tak kolorowe czy radosne, pachnące egzotycznymi zapachami bądź z innych powodów atrakcyjne, jak dzisiejsze jej wizytówki: odnośne kwartały aglomeracji miejskich (nie tylko tych wielkich) zachodniego świata. Przodków tych wzbogacających krajobraz kulturowy Hindusów, Chińczyków, Latynosów, Polaków, Greków, Włochów, Rosjan albo mieszkańców Karaibów i Bliskiego Wschodu, nie mówiąc o rzeszy czarnoskórych obywateli, przynęły różne, najczęściej dramatyczne okoliczności. Zabrzmiało to jak truizm, ale wypada przypomnieć, że mało kto zmienia swoje miejsce zamieszkania tylko z nudy albo od niechcienia. Zmuszają ludzi do tego wielkie tragedie (wojny czy rewolucje), represje, albo wypycha ich z domów nędza i brak perspektyw. Swoje zrobił w tym zakresie ohydny, hańbiący białą rasę, epizod niewolnictwa – czego dzisiejsze wielokulturowe rezultaty prezentuje casus głównie krajów obu Ameryk. Czasem też – i tak bywało w historii - przesiedla się specjalnie czy stosując zachęty wspiera sprowadzanie się ludzi do pracy albo z poczucia lojalności (wynikającego na przykład ze współpracy z aparatem kolonialnym, za co groziłaby zemsta niepodległościowców). Ludzi z tego „naboru” i ich potomków nie brak w europejskich czy amerykańskich metropoliach. To są choćby przypadki Niemiec (Turcy!), Wielkiej Brytanii, w pewnych przypadkach Francji czy Holandii, nawet USA (Wietnamczycy), Singapuru, Fidżi, Mauritiusu (w ostatnich trzech przypadkach sprowadzano Hindusów) a nawet Rosji, też

przecież posiadającej swoją kolonialną historię. Za intrygującymi i porywającymi rytmami, piosenkami, zmysłowością, kolorami, nietypową architekturą, egzotycznymi zapachami czy smakami, uśmiechem w tyłu *keep smiling*, kryją się często zaprzęśłe dramaty, o których łatwo się zapomina.

Wśród tego rozproszonego dziedzictwa nie brakuje również wątków polskich – mocno rozrzuconych po świecie, bo też taka była nasza historia. To zjawisko polskiej obecności wyznaczają nie tylko mogiły czy pomniki, ale i żywa diaspora. Widzimy te ślady na wszystkich kontynentach, a także spotykamy ludzi, którzy naszych rodaków dobrze kojarzą czy wspominają (w Afryce Południowej, w Kenii, Indiach, nawet w Iranie). Na drugim biegunie: tak zwani obcy wnieśli przecież swój wkład, ale i koloryt i bogactwo kulturowe w dorobek Rzeczypospolitej. Nie zapominajmy o tym, że często musielibyśmy mocno skrócić programy zwiedzania Gdańska, Warszawy, Krakowa, Poznania, Szczecina, Wrocławia, Podlasia, czy niegdyś polskiego Lwowa, nie wspominając mniejszych ośrodków, wycinając te różnorodne elementy z naszego dziedzictwa.

O tym wszystkim przewodnik, pilot oraz badacz turystyki kulturowej wiedzieć powinien i wyjaśniać to innym.

Spacerując po obszarach charakteryzujących się multikulturowością czy szeroko rozumianą różnorodnością, delektujemy się ich innością. Tak to już jest, iż zwłaszcza w innym - fizycznym czy cywilizacyjnym - otoczeniu, odbieramy je w postaci atrakcji.

W ostatnich tygodniach tę prostą pozornie kwestię komplikują obrazy fal uchodźców szturmujących dosyć słabe europejskie „obwarowania”. Łatwo zapominamy przy tym, że nie raz tak się działo w dziejach nie tylko tego kontynentu. Emocje budzi jednak skala i kumulacja zjawiska w krótkim czasie, jak i niepokój, wzmocniony jeszcze wielką zagadką – kim jest ta rzesza przybyszy, bo zapewne nie tylko uchodźcami. Nie możemy jednak zapomnieć, iż w dziejach, również naszych, to podobni im współtworzyli mozaikę kulturową współczesnego świata, wzbogacali także europejskie, amerykańskie czy azjatyckie dziedzictwo. Owa różnorodność stanowi wartość dodaną, niezależnie od wielu wątpliwości i niepokojów.

### **Prof. dr hab. Andrzej Kowalczyk, UW, Warszawa**

Na wstępie pragnę zauważyć, że jestem geografem i moje stanowisko w sprawie zawartej w aktualnym pytaniu może różnić się od poglądów przedstawicieli innych dyscyplin wiedzy.

Jak słusznie zauważył prof. Michał Jarnecki, obecny napływ imigrantów do Europy nie jest ani pierwszym, ani (prawdopodobnie) ostatnim w jej dziejach tego rodzaju zjawiskiem. W pytaniu jest mowa o „zagrożeniu” oraz „egzotycznej atrakcji w niekoniecznie egzotycznym (a więc dalekim fizycznie i treściowo) otoczeniu”. Na temat „zagrożenia” nie będę się wypowiadał, bo nie do końca rozumiem, jakie zagrożenie ma Autor pytania na myśli. Jeżeli chodzi o zagrożenie bezpieczeństwa, to jest to problem szerszy niż tematyka omawiana na Forum Gnieźnieńskim i wykracza poza nasze kompetencje badawcze. Jeżeli natomiast termin „zagrożenie” ma dotyczyć kultury i jest związany z multikulturowością, to kulturę rozumiem jako proces ciągłych przemian, a więc obecny napływ imigrantów sprawi jedynie, że multikulturowość Europy będzie jeszcze większa, czego wcale nie odczuwam jako zagrożenie.

Nie wiem czego ma to być zagrożenie, bo wielokulturowość Europy jest faktem o długiej tradycji. Jako przykład mogą służyć choćby: dzielnica ormiańska we Lwowie w czasach I RP, genueńska dzielnica Galata w Konstantynopolu w XIII-XV wieku, czy ormiańsko-żydowsko-maghrebska dzielnica Belleville w Paryżu.

Ponieważ zajmuję się w dużej mierze turystyką miejską, pragnę przypomnieć, że Chinatown w San Francisco, Kreuzberg w Berlinie, czy Little India w Singapurze należą

do najczęściej odwiedzanych przez turystów dzielnic w tych miastach właśnie ze względu na swoją inność kulturową. Stoję na stanowisku, że z punktu widzenia turystyki kulturowej obecna multikulturowość często podnosi atrakcyjność danego miejsca.

Będąc w ubiegłym roku w Lizbonie i mieszkając w założonej i zamieszkiwanej dawniej przez Maurów dzielnicy Mouraria (na północny zachód od Alfamy) klucz od wynajętego mieszkania dostałem w sklepie należącym do rodziny pochodzącej z Pakistanu, a żywiłem się w restauracji z kuchnią pendzabską (bo ją lubię) i w barze prowadzonym przez imigrantów z Wysp świętego Tomasza i Książęcej (bo chciałem poznać nowe smaki, a nie sądzę, żebym pojechał do wspomnianego kraju). Tak więc można przyjąć, że pojechałem jako turysta interesujący się kulturą do Lizbony a otrzymałem „wartość dodaną” w postaci możliwości „dotknięcia” innych kultur.

Na zakończenie muszę jednak dodać, że moje stanowisko w tej sprawie wynika z osobistych doświadczeń (prywatnych i zawodowych), gdyż przebywając w Pakistanie, Iranie, Indiach, Turcji, RPA, czy w Afganistanie, mając studentów i doktorantów m.in. z Jordanii, Uzbekistanu, Azerbejdżanu, Wietnamu, Ukrainy, Białorusi, Kazachstanu, Gruzji, Iranu i Nigerii, zetknąłem się z różnymi obliczami wielokulturowości, co pozwoliło mi na poszerzenie mojej ogólnej wiedzy.

### ***Dr hab. Armin Mikos v. Rohrscheidt, prof. GSW Poznań/Gniezno***

Zadane pytanie narzuciło określone szranki dla naszej refleksji, i tak zapewne będzie dla niej lepiej. W kontekście bowiem aktualnego sporu o imigrantów (w istocie politycznego, jak słusznie wskazuje prof. Andrzej Kowalczyk i nie dotyczącego tylko uchodźców, jak zauważył już prof. Jarnecki, a ja dopowiem jeszcze, że w Polsce nie będącej krajem docelowym pewnie mocno „wyborczego”) oraz przy tak podniesionej temperaturze emocji, podsycanych obrazami dobieranymi w zależności od potrzeb redaktorów i opcji redakcji czy innych środowisk trudno byłoby przystępować do dyskusji na temat całych tak wielostronnych uwarunkowań obecności grup obcych etnicznie we współczesnych społeczeństwach. Wypada jednak zaznaczyć choćby krótko swoją „opcję fundamentalną”, na której – jak sądzę nie tylko u mnie - jakoś budują się stanowiska we wszystkich sprawach. Na ten temat – jak pewnie każdy z nas – mam własną opinię. Jest ona, jak sądzę, dodatkowo uzasadniona wieloletnim pobytom i funkcjonowaniem w kraju posiadającym duże napływowe grupy (właśnie w owych Niemczech, wyrastających dziś na główny cel imigracji) i - oczywiście znacznie mniej intensywnymi, bo przecież krótkotrwałymi a przez to zawsze jakoś powierzchownymi -doświadczeniami turystycznymi. Nie jest to opinia ani trochę bliska hurraoptymizmowi przeróżnych „zielonych” i innych entuzjastów. Bezrefleksyjnie wspierając osiedlanie się na stałe każdego bez względu na konsekwencje bliższe (finansowe) i dalsze (oby „tylko” społeczne, a nie kryminalne czy wręcz militarne), demolują oni przy okazji nasze wspólne prawo gospodarzy oraz sens wszelkich granic, wiz, kontroli imigracyjnych oraz rujnąjących długofalowe strategie (także integracyjne!) samorządów w swoich krajach. Pamiętam przecież, że nasz (europejski) długotrwały pokój, niedoskonała społeczna stabilność, pewien poziom tolerancji i względny, nierówny, ale daleki od głodu i powszechnej niemocy dobrobyt -to nie prezent z nieba, tylko efekt wielowiekowych wysiłków społeczeństw i ich liderów, serii kosztownych przełomów intelektualnych i naukowych, solidarnych inwestycji finansowanych via państwa przez biednych, średniaków i zamożnych oraz – wcale nie na końcu - morza przelanej krwi ostatniego wieku jako skutecznej nauczki. Ale też – tym bardziej – nie mam ani trochę zrozumienia dla agresywnego szowinizmowi niedouków, szkodliwych i mocno pachnących faszyzmem demagogów albo wprost rasistów. Sama już ich zbyt łatwo tolerowana obecność medialna i kolejne bezkarne manifestacje z karalnymi hasłami obrażają nie tylko rozum, ale i poczucie przyzwoitości chyba każdego myślącego człowieka. A także zaczynają być groźne, podkładając ogień: dziś pod wszystkich

wyglądających czy myślących inaczej, może już teraz pochodzących z innego kraju a jutro może tych wyznających „niewłaściwą” religię czy nie wyznających żadnej. Po tym przydługim wstępie „kontekstowym” odniosę się do meritum sprawy, węższego i powiązanego wprost z turystyką.

Zgadzam się w pełni z prof. Jarneckim co do historycznego kontekstu dzisiejszej różnorodności kulturowej wielu miejsc na świecie: jest ona bardzo mocno zakorzeniona w dziejach, wywołana najrozmaitszymi przyczynami. Leżą one przecież i po stronie krajów oraz rządów (często despotycznych i zbrodniczych) państw źródłowych imigracji, ale też i państw oraz rządów terytoriów docelowych (w tym ich dawnej i dzisiejszej polityki, ale i potrzeb gospodarczych czy demograficznych, że wspomnę odwieczne już i nadal czynne mechanizmy ssące USA, powodujące drenowanie innych krajów z ich najwartościowszych i najbardziej kreatywnych mieszkańców). Są po stronie samych imigrantów (zagrożenie, prześladowanie, poczucie dyskryminacji, powody ekonomiczne ale i rodzinne, jak pragnienie zapewnienia perspektyw dzieciom, inne), po stronie (nie zapominajmy!) wielkich graczy biznesowych sprowadzających na własną rękę rzesze pracowników (jak w bogatych krajach arabskich). Ostatnio włączają się to tego nawet uczelnie, na przykład państwowe i prywatne w Polsce, sprowadzając setkami a może już i tysiącami studentów z (głównie na razie europejskiego) Wschodu, żeby zapełnić swoje ławy i uratować etaty. Nie wierzymy przecież nawet sami, że ich znakomita większość wróci do domu, dysponując europejskim znajomością języka, dyplomem i prawem pobytu w znacznie lepszych warunkach oraz szansą na lepiej płatną pracę, mając znajomych i przyjaciół, a może i żyjąc w trwałym związku w Polsce? Wszyscy zatem tworzymy migracje - bezpośrednio lub pośrednio, jakoś z nich korzystając, choćby chodząc do tureckiej czy chińskiej restauracji i tym samym zwiększając motywację kolejnych mieszkańców tych krajów do zakładania biznesu w naszym kraju, w kolejnych dzielnicach, miastach i miasteczkach. Tak współtworzymy ową żywą „wartość dodaną” (jak to trafnie ujął prof. Kowalczyk). Jest ona odczuwalna dla miejskiej turystyki już na najniższym poziomie – w postaci rozrzuconych po naszych miastach „punktów” (na przykład artystów obcego pochodzenia i ich dzieł, innych wybitnych „obcych”) oraz form ich upamiętnienia, jak tablice na domach, czy restauracji z „prawdziwym” chińskim czy gruzińskim kucharzem. Jest obecna wyraźniej w postaci również rozproszonych „ognisk” skupiających więcej osób i więcej potencjalnych walorów (jak synagoga i działająca gmina żydowska w Łodzi, ośrodek kultury ukraińskiej w Krakowie, centra kultury polskiej w miastach amerykańskich, francuskich, brytyjskich i innych), co ewidentnie urozmaica naszą miejską przestrzeń i nasz społeczny oraz kulturowy obraz, naszego codziennego życia będąc jednocześnie przedmiotem doświadczenia turysty i naszej dla niego oferty, a więc wydłużając i urozmaicając listę atrakcji turystycznych. Bo przecież niewątpliwie „varietas delectat” (rozmaitość jest smakowita - nie tylko w retoryce). Przedmiotem artykułowanych ostatnio obaw i protestów jest dopiero kolejny szczebel owej obecności – dzielnice etniczne lub zdominowane przez grupy „obce”, funkcjonujące jak wyspy innej kultury w naszym morzu społeczeństwa „państwowego”. W Polsce owo „morze” jest niemal równoznaczne z własną grupą etniczną, wspólnotą historyczną i kulturową - jakkolwiek było w nieodległej nawet przeszłości, tak właśnie jest dziś i trudno to podważyć. Wspomniane „punkty” i „ogniska” w znakomitej większości nie tylko nam nie zawadzają, ale nawet niemal wszyscy jesteśmy skłonni uznać je za ciekawe, przyciągające (*attracting!*) i jakoś wartościowe, oraz bez większych oporów „pozwalamy” im wrastać w nasz krajobraz kulturowy. Wyjątkiem byłyby może meczety, co nie może jednak dziwić w kontekście jednak znikomego stopnia obecności muzułmanów, gorączki wokół aktualnej skali migracji i doświadczeń z mniejszościami właśnie muzułmańskimi w krajach zachodniej Europy a także mocno dwuznacznej roli jaką odegrały w nich właśnie meczety, ich kaznodzieje i mniej jawnie w nich działający liderzy). Akceptujemy zarazem współkształtowanie przyszłego dziedzictwa kulturowego naszych miast przez wspomniane elementy i ludzi którzy je powołują do

istnienia, wypełniają i ożywiają. Problem zaczyna się, gdy pojawiają się „wyspy”: otóż traktujemy je ambiwalentnie. Jako społeczeństwo w swej masie nie jesteśmy gotowi na ich przyjęcie, z jako turyści (za granicą) dość chętnie je odwiedzamy i korzystamy z ich atrakcji: etnicznie obce dzielnice europejskich i pozaeuropejskich miast są dość często na listach programów także polskich wycieczek. Nie miejsce tu, by rozpocząć dyskusję, dlaczego tak jest, ponieważ nieuniknienie ona także przebiegałaby głównie na terenie politycznym czy socjalno-ekonomicznym, który chcemy tu pominąć.

Może nie do końca konsekwentnie, ale zapewne zgodnie z intencjami autora pytania koncentrując się na turystyce potwierdzę ze swej strony: tak, jestem zdania, że punkty, ogniska i także „wyspy” wielokulturowości są dla nas atrakcją i jest to zwykły mechanizm, co potwierdza światowej sławy kulturoznawca, badacz globalizacji i wielokulturowości, Arjun Appadurai (notabene Hindus wykładający i mieszkający w USA), twórca kluczowego pojęcia etnokrajobrazu. Kulturę ujmuje on bowiem wale nie jako jakiś integralny i trwały zestaw (cech, wartości, zachowań czy czego tam jeszcze) ale jako dynamiczny zbiór różnic – zarówno pierwotnych jak i wciąż pojawiających się nowych, które dopiero w ogniu ludzkich dyskursów (i sporów, i kontrastów i zderzeń) generują powstawanie społecznych, etnicznych, narodowych, terytorialnych czy innych koncepcji tożsamości, stopniowo uznawanych przez większość i następnie przez nie (czy raczej w ich imieniu) jakoś oficjalnie deklarowanych, popieranых i czasem bronionych. Jednak to właśnie różnice zawsze pociągały i przyciągały ludzi, są zatem nie tylko ważne dla określenia własnej tożsamości (choćby w procesie refleksji nad nimi, uruchomionym przez ich doświadczenie), ale i ważne dla turystyki, jako że na nich buduje się system atrakcji. Daleka wprawdzie wydaje się droga od podstawowego zainteresowania elementami doktryny religijnej kolegi z liceum, który był adwentystą i nigdy nie przyszedł na jakiegokolwiek zajęcia w sobotę (tak było w moim przypadku – a kto z nas nie ma jakichś podobnych doświadczeń) czy delektowania się smakiem prawdziwych tagliatelle albo oryginalnie przyrządzonego dania prawdziwej kuchni nubijskiej (dwa litry wody natychmiast po jej zjedzeniu!) albo parogodzinnych odwiedzin w londyńskim Newham, Brixton czy Brent do świadomego poszukiwania śladów różnorodności, chłonięcia interpretacji ich genezy, czy „sklejania” własnego zdania z różnorodnych obrazów wielokulturowych metropolii. Jednak mechanizm jest ten sam i jest on głęboko ludzki.

Dlatego umieszczanie takich wizyt w programach turystyki kulturowej realizowanych w wielokulturowych ośrodkach lub regionach powinno być oczywiste. Po pierwsze dlatego, że spełnia oczekiwania turystów (wynikające właśnie z owej pierwotnej otwartości na różnice). Po drugie dlatego, że tylko taki różnorodny i uwzględniający przynajmniej wybrane z tych „etnicznych” miejsc obraz owych miejsc docelowych jest prawdziwy, a nie chcemy przecież fałszować turystycznego doświadczenia. Po trzecie dlatego że każde (pokojowe) spotkanie z „innym” wpływa na powiększenie gotowości do tolerancji różnic, a więc pośrednio poprawia ludzkie postawy. Po czwarte (last but not least) dlatego że ostatecznie (za Appaduraim) spotkanie i płytsze, a tym bardziej głębsze poznanie „innego” uruchamia w człowieku refleksję nad tym co „inne” w relacji do tego, co „własne”, przez co owo „własne” staje się bardziej świadome i tym samym nie tylko uświadamia on sobie własną kulturę, ale jednocześnie jakoś dostrzega jej – i swoją własną - relację do tej innej, oswaja ją i uznaje jej istnienie, konfrontuje ze swoim systemem idei, wartości, norm i zachowań (czyli indywidualnie przeżywaną kulturą właśnie!) i albo tym bardziej jest doń przekonany, „wybierając go” dla siebie tym razem świadomie, albo (co nie zawsze jest złe) dokonuje pewnych czysto intelektualnych a może też praktycznych modyfikacji w owym własnym systemie. Kultura (ta ludzka, uniwersalna) i kultury (każda, jaką moglibyśmy sobie wyobrazić) zawsze jest w procesie tworzenia, od nowa odkrywa ją każda kolejna jednostka, interpretuje ją grupa, uzupełnia każde dzieło, idea, przekaz (niestety, czasem negatywnie). Zatem spotkanie w miejscach odwiedzanych kultury w jej rozlicznych obliczach i artefaktach (i spotkanie innych kultur), będące konstytutywnym elementem turystyki kulturowej

przyczynia się (trochę jak szereg okazji-zapalników, trochę jak katalizator i tak przecież trwających procesów) jest czymś pożądanym, atrakcyjnym i cennym. Nie wolno przy tym zapominać, że kluczowe znaczenie przy owym turystycznym spotkaniu ma jednak interpretacja dotycząca zjawisk i miejsc, idei, postaw zachowań stojących za postrzeganym przez turystę cząstkowym obrazem czy chwilowym spotkaniem, a tak naprawdę tworzących warstwę kultury. Dlatego duża odpowiedzialność spada na twórców programów turystycznych - i tych którzy działają w imieniu gospodarzy, jak komórki zarządzania turystyką, i tych komercyjnych - jak organizatorzy zbiorowych wycieczek ale też i konstruktorzy i gestorzy lokalnych pakietów, sprzedający je indywidualnym turystom (m.in. też i tym z Polski). Muszą oni przemyśleć te spotkania i dbać o prawdziwość faktyczną, ale i wyważenie treści i form jej przekazu. A my z kolei musimy wielu z nich - dziś naszych studentów - tego właśnie nauczyć: jak tworzyć różnorodny obraz atrakcji miejsc proponowanych turystom z respektowaniem ich rozmaitej przecież rangi oraz z zachowaniem proporcji i jak budować oparta na prawdzie i inspirującą do własnej refleksji, ale jednocześnie atrakcyjna w odbiorze interpretację. To nasze zadanie nigdy się nie kończy, albowiem dynamicznie zmieniają się nie tylko etnoobrazy, pojawiając się nowe „punkty”, „ogniska” i „wyspy”, ale też zmieniają się społecznie odczuwane problemy i związane z nimi pytania i zmieniają się preferencje turystów co do metod i narzędzi interpretacji miejsc, obiektów, społeczności i dziedzictwa. Naszym zadaniem jest obserwować te zmiany i stale dostosowywać do tego narzędzia, które dajemy do rąk naszym studentom i kursantom, na przykład przyszłym przewodnikom i pilotom wycieczek, tym kulturowym pośrednikom i tłumaczom „na linii frontu” Na marginesie dodam, że w przygotowanym przeze mnie w zeszłym roku (2014) podręczniku współczesnego przewodnictwa dwie części mogłyby być w tym w jakimś stopniu przydatne: rozdział 10.4. poświęcony oprowadzaniu „z perspektywy” i zwiedzaniu z narracją alternatywną oraz krótki rozdział 15.7 dotyczący tworzenia i realizacji programów interpretacyjnych dla tzw. „żywych obszarów” miast, czyli dzielnic z różnych powodów mających odrębny charakter...

**dr hab. Jacek Kaczmarek, prof. UŁ, Łódź**

Szanowni Państwo stający w szranki błyskotliwych odpowiedzi. Niewiele pozostało miejsca na oryginalne wypowiedzi. Przyparty do muru celnymi sztychami wybornych szermierzy słowa, dorzucę garść uwag skromnych, być może istotnych. Otóż warto zaznaczyć, że warunkiem wszelkiego rozwoju, koniecznością sensownego bycia jest właśnie różnorodność. Odmienne potencjały wprawiają w ruch myślenie, pobudzają do działania. Wyrównywanie natężenia emocjonalnego, uśrednianie napięcia kulturowego prowadzi zazwyczaj do degradacji i degeneracji danego układu odniesienia. Zatem różnorodność jest warunkiem koniecznym rozwoju społeczeństw. Upodabnianie się rodzi bezruch, banalność, monotonię. Jaki jest sens wyboru dróg wędrowania, skoro każda z nich prowadzi do podobnego celu. Sens wyboru polega na poszukiwaniu odrębności. W takich sytuacjach pojawia się ekscytacja niewiadomym. Oczywiście, należy mieć na uwadze "napięcie różnorodności" podczas wyjazdów turystycznych oraz w zwyczajności życia codziennego. Tajemnica podróży skrywa się w poszukiwaniu ukrytych światów. W codzienności cenimy raczej stabilność, przewidywalność, rutynę. Jednak brak zmienności, zaskoczenia w powtarzalnej codzienności może spowodować konsternację, kiedy zauważymy, że mamy już sto lat. Zatem powinniśmy wędrować drogami, które pozwalają spotkać nieprzewidywalne. Dotyczy to zarówno podróży turystycznych, jak i wędrówki przez życie. Nie możemy jednak zapomnieć o uporządkowaniu różnorodności. Potrzebny jest nam określony ład, który pozwoli opanować postępujący chaos w ostatnich migracjach do Europy. Bezład na pewno nie jest różnorodnością, której oczekujemy. Środowisko społeczne opisywane przez Szanownych Dyskutantów, czerpiących doświadczenie z odkrywczych podróży po świecie, jest właśnie ustabilizowaną, harmonijną różnorodnością. Czy "uporządkowana różnorodność"

jest sprzecznością logiczną? Raczej nie. Powinna być kluczem do gościnnego domu. Epifania obcego może bowiem być cennym doświadczeniem w miejscu zamieszkania. Sens spotkania z obcym w dalekich krainach, powinien wynikać ze zrozumienia obcego, którego spotykamy za progiem własnego domu.

**dr hab. Zygmunt Kruczek, AWF Kraków, prof. UE Katowice**

Polskie media pełne są historycznych wypowiedzi o klęskach, jakie niesie ze sobą „wędrowka ludów” do Europy czy nieodpowiedzialnych deklaracji rządu przyjęcia w bliżej nieokreślonej przyszłości od kilku do kilkunastu tysięcy imigrantów. Zgadzam się z przedmówcami, że to element brutalnej, jak nigdy, kampanii wyborczej. Polska nie jest i nie będzie miejscem, gdzie setki tysięcy imigrantów z Bliskiego Wschodu czy Afryki będą chciały się osiedlić, nie pozwala na to ekonomiczna kondycja naszego kraju, szlaki współczesnej wędrowki ludów prowadzą do Niemiec, Wielkiej Brytanii, Skandynawii. Nawet nie dotknął nas jeszcze problem tranzytu, jak to ma miejsce w Grecji, Macedonii czy na Węgrzech. W dzisiejszej prasie czytam, że burmistrzowie bliskich mi miast Małopolski, takich jak Nowy Sącz, Krynica czy Muszyna nie widzą możliwości przyjęcia imigrantów. No cóż, wybory za dwa tygodnie.

Na pytanie postawione przez prof. Jarneckiego - zagrożenie czy atrakcja?, zdecydowanie z punktu widzenia turysty i osoby zajmującej się atrakcjami mogę opowiedzieć się za atrakcją. Pisałem o tym kiedyś we wspólnym artykule z dr Magdalena Banaszekiewicz, fragment ten wypowiedzi przytaczam poniżej, punktem wyjścia naszych rozważań było sformułowanie istoty wielokulturowości, a także jej poszukiwanie w Polsce, w kontekście podnoszenia atrakcyjności turystycznej kraju.

Różnorodność kulturowa jest obecnie jednym z chętniej stosowanych terminów dla opisu pożądanego stanu społeczeństwa ponowoczesnego. Koncepcja wielokulturowości czy też multikulturalizmu oznacza, generalnie rzecz ujmując, harmonijne współistnienie w jednym państwie (czy na jakimś innym terytorium, np. w regionie) różniących się od siebie grup kulturowych czy etnicznych. Wielokulturowość jako ideologia polityczna powstała w odpowiedzi na kryzys koncepcji tygla kulturowego – mówiąc obrazowo – zamiast wizji społeczeństwa w formie pesto (wszystkie składniki zmiksowane w spójną masę) otrzymujemy propozycję społeczeństwa – sałatki (różnica i różnorodność nie ulega zatarciu). Szczególnie w państwach wieloetnicznych, wieloreligijnych, wielojęzycznych zagadnienie współistnienia różnych systemów wartości i sposobów życia wymagał rozwiązania na drodze instytucjonalnej.

Czy jednak Polski w ogóle ten problem dotyczy? Czy możemy mówić o kulturowej różnorodności w obrębie naszego kraju? Aby wyjaśnić tę kwestię, musimy doprecyzować o jaką różnorodności kulturową pytamy. Niewątpliwie, jeśli pod tym pojęciem rozumiemy dziedzictwo kulturowe, Polska pochwalić się może wielkim potencjałem różnorodności. Tradycje Rzeczypospolitej Obojga Narodów, gdzie tak naprawdę mieszkało znacznie więcej niż tylko dwa narody to podstawa obecnego bogactwa kulturowego. Jeśli dołożyć do tego II Rzeczypospolitą, mamy konglomerat religii i języków, jakiego nie powstydzilaby się dzisiejsza Francja czy Belgia. Rzecz jednak nie w tym, by chwalić się przeszłością, a zastanowić, co pozostało z niej do dnia dzisiejszego oprócz architektury, dokumentów i może jakichś tradycji i obyczajów.

Obecnie społeczeństwo polskie tworzy dominująca grupa większości polskiej oraz nieliczne grupy mniejszościowe. W Narodowym Spisie Powszechnym z 2011 roku narodowość polską zadeklarowało 97% ankietowanych (wliczając osoby deklarujące również drugą narodowość). Nieco ponad 2% (870 tys.) zadeklarowało dwie narodowości – polską i niepolską, w tym 788 tys. (2,05%) polską jako pierwszą, a 83 tys. (0,22%) polską jako drugą. Ok. 600 tys. osób (1,5%) zadeklarowało wyłącznie niepolską narodowość,

z czego 46 tys. osób (0,12%) zadeklarowało dwie niepolskie narodowości. Polska należy do tych państw europejskich, które mają ich najniższy odsetek mniejszości narodowych i etnicznych w stosunku do ogółu ludności. Spośród najważniejszych grup wymienić należy Niemców, Białorusinów, Ukraińców, Romów, Rosjan, Litwinów, Tatarów, Łemków, Słowaków oraz Żydów.

Do zwiększenia różnorodności etnicznej polskiego społeczeństwa przyczyniło się także otwarcie naszego kraju na międzynarodowe i globalne procesy migracyjne w ostatnich dwóch dekadach. Wśród nowoprzybyłych przedstawiciele krajów europejskich, Ameryki Południowej, Azji i Afryki. W 2004 r w Polsce było zameldowanych 64 000 cudzoziemców, z czego 40 000 na pobyt stały. Polska przestaje także być państwem, z którego pochodzili jedynie emigranci i uchodźcy, lecz w coraz większym stopniu staje się również miejscem osiedlenia dla imigrantów zarobkowych oraz schronieniem dla uchodźców. Wszyscy oni przyczyniają się do zwiększenia wewnętrznego zróżnicowania kultury naszego kraju poprzez wprowadzanie doń własnych niepowtarzalnych wzorów, wartości, zwyczajów, itp. [Z. Kruczek, M. Banaszkiewicz, Różnice kulturowe jako atrakcja turystyczna [w:] „Nasze, nie nasze w turystyce”, Edukacja – Wrocław 2014. s. 279-295]. Większość wypowiedzi prezentowanych na Forum Gnieźnieńskim potwierdza tezę, że multikulturowość, obojętnie czy w egzotycznym czy lokalnym otoczeniu, jest atrakcją turystyczną. Przykłady podawane przez prof. Kowalczyka, samego autora pytania czy też w przytoczanej w kontekście metodyki przewodnictwa przez prof. Mikosa von Rohrscheidt utwierdzają w tym przekonaniu.

#### **Piotr Kociszewski, UW, Warszawa**

Szanowni Państwo, pozwalam sobie zabrać głos po przedmówcach, w których wypowiedziach znajduję wiele bliskich mi spojrzeń i uwag. Również nie zamierzam odnosić się do współczesnej – obecnej sytuacji, ponieważ myślę, że w sposób słuszny została ona już tutaj zdefiniowana i wskazana. Tytułem wstępu, wzorem prof. Z. Kruczka mogę również odwołać się do jednego z opracowań – autorstwa dr hab. M. Durydiwki i mojej osoby, opublikowanego w numerze 6 /2013 Turystyki Kulturowej pt. "Wielokulturowość Podlasia i możliwości jej wykorzystania w turystyce"

W jego pierwszej części została przez M. Durydiwkę słusznie przywołana definicja „wielokulturowości”, a sam tekst dotyczył regionu, który także w kontekście niniejszego pytania od razu przychodzi mi do głowy w formie skojarzenia – Podlasia – szerzej: Polski Wschodniej. To region, który niejednokrotnie określany jest stereotypowo jako Polska B, ale myślę, że w kontekście właśnie rzeczony wielokulturowości powinien być traktowany jako Polska A – bo to przecież tutaj przez wieki krzyżowały się i spotykały różne nacje, kultury, języki i wyznania.

W kontekście Podlasia (analogicznie być może innych regionów) proponowałbym zawartą w temacie pytania wielokulturowość postrzegać w dwóch wymiarach: a) wielokulturowość historyczna i współczesne nawiązania do niej (w obliczu zaniku pierwotnej – historycznej) oraz b) wielokulturowość dawniej i jej obraz obecny. Ilustracją pierwszej płaszczyzny może być Tykocin (opisany także szerzej w przywołanym tekście) – jedno z najstarszych miast Podlasia, w którym przez wieki żyła społeczność żydowska i chrześcijańska, ale przybywali też m.in. Holendrzy. Dziś – wyznawców judaizmu nie ma, ale na bazie ich obecności – konkretnie zaznaczonej w przestrzeni miasta (synagoga, zabudowa dawnej dzielnicy Kaczorowo) –mają miejsce inicjatywy do niej nawiązujące – m.in. funkcjonują restaurację z kuchnią żydowską. Z kolei przykładem drugiego wątku może być Szlak Tatarski, obecnie przebiegający przez Bohoniki i Kruszyniany (mecety) oraz Sokółkę (wystawa tatarska w Muzeum Regionalnym). Tatarzy, obecni od czasów króla Jana III Sobieskiego – do dziś są mieszkańcami Podlasia i pielęgnują właśnie wielokulturowość –



nie tylko przez udostępnianie meczetów, ale i kuchnię tatarską, jak i imprezy plenerowe. Mimo aktów wandalizmu, o których donosiły media (pomazanie meczetu w Kruszynianach) nie zmienia się charakter ich obecności.

Reasumując, myślę, że takie postrzeganie wielokulturowości pokazuje, jak różne scenariusze mogą być w oparciu o niej – a raczej dzięki niej i przez nią realizowane – przyczyniając się do rozwoju nie tylko turystyki, ale i m.in. integracji środowiska lokalnego. Wątek ten związany jest również z szeroko rozumianą interpretacją dziedzictwa – w tym kontekście wielowątkowego, której obecnie wiele miejsca w swoich pracach poświęcają m.in. wypowiadający się już Armin Mikos von Rohrscheidt czy Monika Murzyn-Kupisz (recenzja jej książki jest opublikowana w bieżącym numerze TK).

Pozostaje mi zakończyć słowami dr hab. Joanny Angiel z Uniwersytetu Warszawskiego, która w jednym ze swoich esejów geograficznych zatytułowanym „Podlasie”, w kilku strofach oddała ten złożony charakter regionu – „Podlasie jest bankiem dobrych genów, nie tylko jabłek czy ziół różnorodnych (...) ale ludzi – żyjącym razem, choć czasem tak różnie”.